

**N**IE zdarzyło się chyba, aby w ciągu tygodnia mogło się nagromadzić aż tyle kontrowersyjnych ocen zaledwie kilkudniowego programu, co tym razem. Bo też i pozycje, jakie oglądaliśmy ostatnio, pochodzą z dwóch pograniczy, albo — jeśli ktoś woli — ze szczytów i z bardzo niskich pięt. Ponieważ schodzenie idzie znacznie łatwiej niż wspinaczka w górę, za punkt wyjściowy weźmy szczyt.

Nie ulega wątpliwości, że najlepszą pozycją publicystyczną już nie tylko tygodnia, ale w ogóle wielu miesięcy, był dokumentalny film produkcji telewizji NRD, zrealizowany przez Waltera Heynowskiego i Gerharda Scheumannna pt. „Godzina duchów”.

W tym filmie nie się nie dzieje, padają tylko krótkie pytania dziennikarza, po których następują długie i wręcz nieprawdopodobne odpowiedzi jasnowidzacej, słynnej na Zachodzie wróżki Bucheli, zwanej także wieszczką z Bonn. Ale czy rzeczywiście w „Godzinie duchów” nie dzieje się nic? Pozornie, bo właściwie dzieją się rzeczy, które człowiekowi zdrowo myślącemu zwyczajnie nie mogą pomieścić się w głowie.

Nie chcę streszczać filmu, wydaje się bowiem, że telewizja wznosi jego projekcję, podobnie jak jedną z najcenniejszych pozycji publicystyki politycznej, film o Kongo — Müllerze. Pominięcie tej pozycji przez widzów byłoby na prawdę ogromną stratą. Rzadko bowiem zdarzają się (nie obrażając „Świa-

towida”), programy polityczne roblone z takim umiarem, jednocześnie tak sugestywne i wymowne.

Drugie osiągnięcie telewizji, tym razem z dziedziny rozrywki, odnotowaliśmy w niedzielę. „Parada parodystów” w reżyserii Janusza Rzeszewskiego i scenografii Jerzego Masłowskiego, to zabawa, jakiej w telewizji nie było chyba od niepamiętnych czasów. Program przygo-

## Wieczory przy telewizorze

# Na szczycie i znacznie niżej

towany przy pomocy bardzo prościutkich środków, niewymyślny i sztucznie nieudziwniany, okazał się bombą, w czym oczywiście główna zasługa samych parodystów, ale nie tylko. Wielokrotnie pisaliśmy już że bywają w TV programy z piętnem i bez piętna. Z piętnem dobrej reżyserkiej ręki i przypadkowe, wyciągane przed kamerę dosłownie za uszy. To charakterystyczne piętno zostawia na swoich programach jeszcze bardzo niewielu polskich twórców telewizyjnych, ale do tej skromnej grupy na pewno zalicza się Janusz Rzeszewski.

Znamy wiele jego bardzo udanych programów, znamy jego wdzięczny cykl „Śpiewki stare, ale jare”, widzieliśmy też parę niedobrych rzeczy, które wyszły spod jego ręki, ale to świadczy tylko na korzyść jego bezspornej indywidualności. Był okres, kiedy odnosiło się wrażenie, że Rzeszewski popadł w sztape. Pisaliśmy zresztą o tym wyrażając z tego powodu niekłamany żal. Dlatego udana „Parada parodystów” jest powodem do zadowolenia podwójnego. Po pierwsze z przedniej zabawy, jakiej nie powinno w telewizji zabraknąć w

Irena Radlińska

żadną niedzielę, po drugie z samego faktu, że... Rzeszewski znów się odnalazł.

A teraz schodzimy o kilka-ście piętér niżej. Oto dreszczący milionów — telewizyjna Kobra, tym razem z widowiskiem sensacyjno-kryminalnym Józefa Słotwińskiego pt. „Spokojna noc”.

Zupełna rewelacja: trup w wannie! Już na samym wstępie straszne nogi, stopy nieboszczyka, wypchane nam przed sam nos. Okropność! Potem stary, wyswiechtany schemacik: policja kontra detektyw-amator, czy też odwrotnie. Potem w naszych warunkach, zupełnie nieprawdopodobne podawanie do prasy mylnych wiadomości (jakże można!), przeistaczenie mordercy

w jego ofiarę, bibliki badyлары, dyrektorów i takich sobie panienek, no i oczywiście ukoronowanie bzdury: sukces detektywa niezawodowego.

Degrengolada telewizyjnego Teatru Sensacji — to oczywiście oddzielny rozdział, nad którym warto zastanowić się jako nau tematem samym w sobie. Zal bowiem tych czasów, kiedy to czwartkowe premiery Kobry określały widzom harmonogram wieczornych zajęć. Nie do pomysłenia bowiem było, żeby Kobrę opuścić...

Jeszcze parę piętér niżej znalazła się poniedziałkowa premiera Teatru TV „Babia Góra” Keitha Waterhouse'a i Williama Halla.

Miała to być dawka przystawowego angielskiego humoru, ale w wydaniu telewizyjnym nie miała ona nic wspólnego z tym trudnym do naśladownictwa gatunkiem „czarnego uśmiechu”. Inscenizacja „Babiej Góry” od początku do końca była zła, aktoży — Świdorski, Łaniewska, Kłosowski (zał takich nazwisko do tak marnej sztuki), robili co mogli, więcej niż można było wyczytać nawet między wierszami miernych dialogów, małżeńskich trójkąt w założeniu widziany z przymrużeniem oka rozpada się, mimo iż autorzy w zakończeniu sztuki na wieki go seamentowali, a widz zastanawiał się, po co to wszystko? Po co i dlaczego na uswęconym dobrą tradycją miejscu znalazła się pozycja — bubel, pozycja z przeceny, pozycja z obniżki.

Jakże przykro, że wchodzi tu w grę nie obniżka ceny, ale lotów teatru, o którym jeszcze niedawno mówiło się, że jest najlepszym teatrem w kraju.